

Oficyna RW2010 przedstawia



SCIENCE
FICTION

Emma Popik
Wigilia
szatana

EMMA POPIK
WIGILIA SZATANA
ze zbioru
Wigilia szatana

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2013

Redakcja Joanna Śłużyńska

Korekta zespół RW2010

Redakcja techniczna zespół RW2010

Copyright © Emma Popik 2013

Okładka Copyright © Mateo 2013

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2013

e-wydanie I

Utwór bezpłatny,
z prawem do kopiowania i powielania, w niezmienionej formie i treści,
bez zgody na czerpanie korzyści majątkowych z jego udostępniania.

Aby powstało to opowiadanie, nie wycięto ani jednego drzewa.

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

[Kup książkę](#)

Trójka mędrców rozmawiała w progu niewielkiej stajni. Tau trzymaną w ręku słomką narysowała trójkąt w plewach na ziemi. Po chwili wahania dorysowała pod spodem kwadrat i podzieliła go pionową linią na dwa pola. Zamyśliła się i drapiąc słomką po głowie, usiłowała coś sobie przypomnieć.

– Wydaje mi się, że to powinien być stożek – powiedział stanowczo Zeta.

Stał oparty o framugę, lecz mimo niedbałej pozy, swoją opinię wyraził tonem definitywnym.

– Czuję, widzę – westchnęła Psi – jasne punkciki na tym stożku. Jak pięknie!

– Naszym zadaniem jest odgadnąć, czym to było – powiedział Zeta. – Potrafisz to wyczuć? – zwrócił się do Psi.

Psi rozpraszała się i rzedła, by po chwili konsolidować się i koncentrować. Wnikała w głąb, łączyła sobą odległe kwanty myśli. Na tle mgły, jaką się stała, pojawiły się wreszcie jej oczy, ciemne i wilgotne, patrzące z góry.

– To służyło do ozdoby i przyjemności. Jest obciążone poważną energią. Ach, jakże jest stara. Istniała na początku, przed pierwszą przemianą umysłów, zanim symbole scalały się w jeden, obarczony cierpieniem, ale i nadzieją – wyszeptała.

– Mówisz, że symbole pochodziły z czasów, kiedy jeszcze nie było Saytana? – ustalał Zeta.

– Tak! On jeszcze nie został powołany do niesienia ciężaru.

– A ten rozdzielony prostokąt? – dopytywała się Tau.

– To przedmiot nazywamy drzwiami. Symbol. On się jeszcze powtórzy.

– Kiedy? – zapytał poważnie Zeta.

– Niedługo, już się staje.

– Drzwi? – zdziwiła się Tau. – Do czego, co jest za nimi?

– To trudne – szepnęła Psi. – Ma związek z okręgiem czasu.

Mówienie i ogląd wewnętrzny wydarzeń szybko ją wyczerpywały. Przerwała relację, by nabrać sił.

Ogromny wysiłek potrzebny do przebycia drogi czasu po średnicy okręgu, zabrał jej również gęstość materialną. Rozproszyła się, znikła. Niewidoczna, przebiegła długą drogę i powróciła, szybciej oczywiście niż myśl. Na tle otwartych drzwiczek do stajni zmaterializowały się jej usta.

– Tak – potwierdziła. – Tak na końcu, jak i na początku.

– Nowy początek – zdefiniował Zeta.

– Za tymi drzwiczkami? – powątpiewała Tau.

Chociaż mówiła o rysunku, jaki wykonali słomką w warstwie plew pokrywających ziemię, spoglądała na żłób widoczny z progu. Za żerdkami tkwił snop siana dla koni.

Z domu dobiegł brzęk naczyń przestawianych na płycie kuchennej. Matka przygotowywała kolację. Mędrcy zobaczyli wylatujący z komina czarny tuman sadzy. Ktoś energicznie czyścił wlot od dołu.

– Saytan! – krzyknęła na syna matka. – Cały jesteś czarny po tym czyszczeniu komina. Wyglądasz jak diabeł. Umyj się w tej chwili!

Jednakże jej ruchliwy synek, wyszedłszy z komina z uczernioną twarzą i rękami, tylko się wykrzywił w stronę jej pleców pochylonych nad stołem. Mając ręce po łokcie zanurzone w cieście, nie mogła się odwrócić. Obok na stolnicy zasypanej mąką stała miseczka z kapustą z grzybami.

– Co dostanę na prezent?

– A co napisałeś w liście?

– A po co miałem pisać? Przecież tu nie ma poczty!

– Dzieci zawsze tak robią.

– To głupie! I nie jestem dzieckiem.

– A kim jesteś? – Roześmiała się, wciąż odwrócona plecami i zajęta wałkowaniem ciasta.

Mały Saytan stanął na środku kuchni, twarzą do okna. Patrzył na niebo, po którym poruszał się mały srebrny punkcik. Punkt, nie większy od srebrnej monety, obracał się wokół swojej osi i emitował sygnały. Wydawał je regularnie od początku świata. Ich świata. Tyle pamiętali. Co było wcześniej i czy jakieś „przedtem” istniało, nie wiedzieli.

Mały Saytan przeszył wzrokiem niebo. Wyprostował się i zacisnął pięści. Nabierał w płuca powietrza i rósł w głąb. Widział całe niebo i wszystkie metalowe przedmioty, które na nim pozostawiono i które poniewierały się od tamtych wydarzeń.

– Jestem władcą nieba – rzekł z wielką pewnością siebie.

– Uważaj, by cię z niego nie strącono – rzekła matka ze śmiechem.

Przekomarzała się z synkiem, a jego słowa traktowała jak dziecinne przechwałki.

Mały Saytan przeniósł swój wzrok na łąd stały. Widział niewielkie skupiska organiczne, ot, plamy na zestalonych popiołach. Wykrzywił usta w ironicznym uśmiechu.

– Jestem panem świata.

– Już nie jesteś dzieckiem czekającym na prezenty?

– Po co mi prezenty, skoro mam wszystko!

– A ja widzę przez okno, że ktoś do nas jedzie – powiedziała matka.

– To do mnie! Wiezie prezenty! – Chłopiec bardzo się ucieszył.

– Dla ciebie zostaną wrzucone przez komin – przypomniała mu matka.

– Sprawdzę!

Wybiegł z domu i stanąwszy przed drzwiami, przyglądał się jadącemu. Czarny koń, czarny jeździec. Zbliżali się szybko. Chłopiec biegał przed drzwiami raz w jedną, raz w drugą stronę. Bardzo pragnął dostać prezenty. Jeszcze nigdy niczego mu nie podarowano. Za to na pewno w tym roku otrzyma coś nadzwyczajnego. Przecież

się nie zdarzyło, by zdążał do ich domu taki ognisty koń, którego dosiadał jeździec o tak dumnej postawie.

Chłopiec marzył i tęsknił. Krążył, stawiając coraz bardziej niecierpliwe kroki. Jeździec na koniu wyglądał wspaniale. Już się zbliżył na tyle, by chłopiec mógł zobaczyć broń optyczną wiszącą w poprzek piersi, a nad czołem celownik świecący niby gwiazda. Czarne ubranie jeźdźcy było utkane z włókien, wewnątrz których ukrywały się inteligentne urządzenia. Dzięki nim poruszał się pewnie w każdym terenie, nawet na terytoriach pokrytych ciemnością. Odnajdowały również drogę w odwróconej przestrzeni.

Wzrok chłopca przyciągnął świecący na głowie strażnika namiernik. Potem zaciekały go liczniki doczepione do pasów skrzyżowanych na piersi. Jakże piękne były rękawice ze strzałkami. Szukał jednak ukrytego prezentu. Nie mógł odgadnąć, który z tych przedmiotów przeznaczony został dla niego. Może wszystkie! Wyobrażał sobie, jak strażnik podjeżdża i zatrzymuje konia w miejscu, a ten unosi przednie wysięgniki; twarz jeźdźcy promienieje radością; odczuwa zadowolenie z powodu spotkania z chłopcem, możliwości obdarowania go cennymi rzeczami...

Podjeżdżał coraz bliżej. Podciągał uprzęż i nawijał ją na rękę, powodując, że koń zwalniał kroku. Nagle zwierzę stanęło gwałtownie, jakby uderzyło łbem w ścianę. Postawiono tu zaporę otaczającą obrzeże przestrzeni wewnętrznej.

Strażnik wstrzymał konia. Wbił wzrok w dziecko. Już podnosił wolną rękę, a strzałki na rękawicy skierowały się wprost na chłopca. Ten jednak tylko się uśmiechnął z zadowoleniem i zatoczył dłonią koło. Przestrzeń rozszerzyła się, po czym pętla jej granicy zawężyła się za plecami strażnika, który znalazł się w środku terytorium.

Koń opuścił łeb i postąpił krok do przodu. Strażnik zorientował się, że zapora została opuszczona, co oznaczało, że nie wzbudzał strachu. Gospodarz interioru,

mały chłopak z uczernioną twarzą, wcale się nie obawiał stanąć z nim twarzą w twarz. Wierzchowiec podszedł jeszcze bliżej i stanął naprzeciw chłopca.

– Hej ty, diablątko! – wrzasnął strażnik. – Podejdź no tu!

Strażnik potężnych rozmiarów siedział dumnie na wysokim koniu i spoglądał z góry na dziecko. W czerwonej twarzy żarzyły się czarne oczy. Zrobiły się małe ze złości i emanowały pogardą, gdy wołał na chłopca. Ten jednakże wciąż szukał wzrokiem prezentu.

– Co mi przywiozłeś? – zapytał, nie ruszając się z miejsca.

– Zaraz ci dam, to się nie pozbierasz! Co ty myślisz? Jestem twoim dostawcą? Jestem posłańcem królewskim.

– Co mi król przesyła przez ciebie? – zapytał chłopiec, ciesząc się jeszcze bardziej.

Nie rozumiał wściekłości widocznej na twarzy strażnika, który zastanawiał się, jak postąpić. Czy stanąć do walki z dzieciakiem? Byłoby to poniżej jego godności, posłańca głoszącego ważną wiadomość po całym terytorium. Możliwe, że zmiotłby dzieciaka jednym ciosem. Choć z drugiej strony postawienie zapory świadczyło o tym, że chłopak miał potężnych opiekunów. Jeżeli należały do formacji półmaterialnych, walka z nimi nie zakończyłaby się zwycięstwem strażnika. Pokonanie ich części materialnej nie nastęczyłoby oczywiście trudności. Obciąłby im głowy czy odrąbałby na odległość ramiona. Taka siekanina nie zapewniłaby mu jednak zwycięstwa. Byty opiekuńcze przelałyby się do swojej formacji niematerialnej. Strażnik nie przechodził treningu i nie umiał sobie z nimi radzić. Mówiono, że pozostały po dawnych cywilizacjach. Strażnik w to nie wierzył. Nauka udowodniła, że nie było żadnych poprzednich cywilizacji i świat rozpoczął się od nich. Strażnik ufał nauce. Nie wiedział, jak wyjaśnić stawianie zapory czy istnienie formacji półmaterialnych.

Zanim wyruszył ze stolicy, postrzegał świat jako formę uporządkowaną i spójną. Uznawał ją za całkowicie wyjaśnialną. Rzeczywistość, w której żył, nie stawiała pytań. Były same odpowiedzi. Im dalej odjeżdżał od stolicy, tym bardziej podejrzewał, że są kłamstwami. Nie chciał, aby tak było. Każde spotkanie, choćby takie jak to, z chłopakiem o czarnej twarzy strzeżonym przez niepokonanych opiekunów, odbierał jak zburzenie kolejnego gmachu, w którym mogli się bezpiecznie schować przed innym i nieznanym. Miał ochotę zetrzeć z powierzchni ziemi każdego, kto niszczył ulica za ulicą jego solidny i słuszny świat. Właśnie stał przed dzieciakiem, który – choć się uśmiechał i tylko poruszył ramieniem – dowodził, że strażnik żył w świecie ułudy, a wszystkie odpowiedzi i wyjaśnienia, w które wierzył, były kłamstwem. Tylko on, ten mały, okazywał się prawdą.

Miał wielką ochotę zabić tego smarkacza z czarną twarzą. Śmiał się tak bezczelnie i okazywał tak wielką pewność siebie, jakby to on był panem świata, a nie cesarz. Tak, zabije go, bo mały wzbudzał w nim agresję. Uświadomił sobie naraz, że jeszcze nigdy nie czuł aż takiej dzikiej wściekłości. Nigdy nie miał ochoty mordować. Czynił to tylko zmuszony do obrony. Nigdy nie zabił dziecka. Cóż, że cesarz wydał taki rozkaz. W aneksie do rozkazu cesarz podał warunki, które muszą spełniać dzieci przeznaczone do likwidacji. Tylko noworodki płci męskiej. Ten chłopak nie podlegał tym warunkom. Cemuż więc wzbudzał w nim taką żądzę zabijania?

Strażnik, w gruncie rzeczy osobnik spokojny i pocziwy, unikał myślenia. Cenił dobre jedzenie, o co w podróży było trudno. Większość jego wysiłków pochłaniało zdobycie porządnej kolacji. Chciał wypełnić rozkaz cesarza, a przy okazji skorzystać, użyć sobie, i powrócić ze wspomnieniami. Taka podróż może się już nie powtórzyć.

Zabijać, siec, kaleczyć, odrąbywać! Nie, nigdy tego nie chciał. Ale teraz, gdy patrzył na tę małą sylwetkę z czarną twarzą, czuł, że się nie opanuje. Jego ręka sama się prostowała, a strzałki ustawiały na cel. Zabije go, o tak, tak!

Na progu stanęła matka, trzymając przed sobą koryto pełne pierogów, które zrobiła dla rodziny. Czekali na kolację i cieszyli się z przygotowywanej uczy. Tak wspaniałą potrawę otrzymywali tylko raz w roku, jak tradycyjnie nazywano ten okres. Nikt nie rozumiał tego słowa, jak i wielu innych, ale je powtarzano.

Przyciskała koryto do piersi, by potrawa nie utraciła ciepła.

– Pięknie pachną te twoje pierogi – zauważył strażnik.

– Dziękuję panu. – Matka skłoniła głowę. – Są również bardzo smaczne.

– Pewnie smażyłaś je w soku wielgusa?

– Są również bardzo twarde.

– Nie rozłożą się szybko – pochwalił strażnik. – Będą zalegać w żołądku bardzo długo.

– Cały czas będziesz czuł ich ciężar.

– A bekając, przypomnę sobie ich smak – rozmarzył się strażnik.

– Wy w stolicy pewnie nie jadacie produktów gnijącej materii – pożałowała go matka.

– Niestety. Dają nam tylko pożywienie wysoko przetworzone i wysublimowane.

– Ale stąd twoja okazała postać, strażniku – matka pocieszyła go komplementem.

– Wewnątrz pusta. – Strażnik westchnął.

– Pewnie dużo się w tobie mieści – droczyła się z nim matka.

– Sprawdź!

Strażnik pociągnął w dół żuchwę i odsunął ją aż o trzy stopnie. Jego paszczęka zrobiła się prostokątna i nie dała się łatwo zamknąć.

Matka wzięła pieróg w dwa palce i rzuciła go w stronę otwartej paszczy strażnika. Trafiła. Usłyszeli łoskot, jakby kamień toczył się po wąskich stopniach. Strażnik obrócił oczami naokoło, okazując zadowolenie. Matka rzuciła następnego

pieroga i potem kolejnego. Górka w korycie szybko malała. Pierogi wciąż dudniły, spadając na dno rezerwuaru pokarmowego strażnika, a on obracał oczami, pokazując niebieskie spody gałek.

Chłopiec ze zdziwieniem spoglądał na szybko ubywające jedzenie. Czekał na porę kolacji z niecierpliwością. Nazywano ją świętem, chociaż nawet Tau nie umiała wyjaśnić znaczenia tego słowa. Matka mówiła tylko: „Tradycja, tak się robi”, dodając w ten sposób kolejne niezrozumiałe słowo. Zresztą, wcale nie była jego matką. Takie nazwy wynikały chyba właśnie z tradycji i z wygody, zastępując numerowanie bytów.

Chłopiec liczył jednak na uroczystość. Czekał na smaczne jedzenie, ono jednakże znikало w czarnej paszczęce czarnego strażnika. Koryto było już do połowy opróżnione. „Może by rzucić mu kamień?” – pomyślał chłopiec. Uznał ten pomysł za nieuczciwy. Pochylił się nad korytem i wziął do ręki pieróg. Rzucił wprost w stronę strażnika. Nie trafił jednak. Nic dziwnego, był przecież tylko małym chłopcem. Matka odsunęła się i opuściła ramiona.

– Mój syn mnie wyręcza. Jakież to uczynne dziecko! Czy nie ma pan dla niego jakiejś nagrody?

Strażnik nie chciał jednak odpowiedzieć, gdyż musiałby podsunąć do góry szczękę, i to o trzy zaczepy, by ją z powrotem zamknąć.

– Hop! – zawołał chłopiec, celując i rzucając.

Trafił dokładnie tam, gdzie zamierzał, czyli do cebrzyka stojącego za progiem stajni.

– Łap! – zawołał znowu do strażnika.

Widząc lecący pieróg, strażnik skoczył w lewo, nastawiając otwartą paszczękę.

– Złapałeś! – zawołał chłopiec.

Pieróg jednakże trafił ponownie do cebrzyka. Chłopiec wziął po jednym pierogu do ręki. Rzucił szybko lewą ręką, a strażnik wybił się do skoku niby bramkarz do

piłki. Potem prawa ręka chłopca wykonała szybki ruch i strażnik rzucił się w prawą stronę. Za każdym razem pieróg wpadał prosto do cebrzyka, a chłopiec podskakiwał i wykrzykiwał z radością: „Trafiłeś!”

W końcu w wiadrze pokazało się dno, a cebrzyk, ukryty za drzwiami stajni, został wypełniony. W ten sposób chłopiec uratował rodzinną kolację. Podniósł koryto i obrócił je do góry dnem.

– Zjadłeś wszystkie!

Strażnik wbił sobie szczękę jednym ciosem.

– Dobrze było? – zapytał chłopiec.

– Oszukałeś mnie!

Strażnik wyciągnął palec i zmierzył objętość koryta oraz jego pojemność i wagę. Potem skierował palec z punkcikiem miernika na końcu kciuka i dotknął do swojej piersi. Na palcu pokazały się cyferki.

– Moja waga powiększyła się tylko o połowę objętości koryta! Gdzie reszta jedzenia!

– Na pewno już pan je strawił! – zawołał chłopiec.

Strażnik obrócił z wściekłością oczami. Dotknął rozpostartą dłoń zewnętrzną strony swego zbiornika. Jego ręka zrobiła się przejrzysta, zamigotała i zmętniała.

– Widzisz! Proces trawienia nawet nie został uruchomiony.

– A to pan nie zna prawa dema?

– Co?

– Dematerializacji! – Chłopiec wymyślił je na poczekaniu. – Nie wie pan, że pewna część materii zgniwalnej po prostu znika. Puff! Nicość.

– Nicości nie ma – zaoponował strażnik.

– Jest! Skoro o niej mówię! – upierał się chłopiec.

Stał dumnie, wysunął lewą nogę przed siebie i ujął się pod boki.

– Tego rodzaju materia, która się dematerializuje, może być szkodliwa – rzekła cicho matka.

– Czym wy mnie nakarmiliście!? – wrzasnął strażnik.

– Wyniosłam jedzenie dla zwierząt – rzekła matka. – Pan o nie poprosił.

– Tak nie było!

– Możemy cofnąć czas – zaproponował chłopiec.

– Nie! Musiałbym znowu jeść te pierogi.

– Ale wtedy zjadłby je pan dwa razy – rzekł chłopiec.

– Dostyc już mam. – Strażnik ponaglił konia i zwierzę zaczęło ruszać.

– A prezent dla mnie? – Chłopiec tupnął nogą.

– Prezent! – wrzasnął strażnik, już czując w sobie nicość. – A masz!

Rzucił na ziemię małą miedzianą monetę. Chłopiec spojrzał na nędzny krążek. Jakże źle został potraktowany! Ogarnęła go wściekłość. Pod smolistą czernią twarz dziecka poczerwieniała. Zaciśnął wargi, zatrzymując w sobie energię. Poczuł znaczny przypływ ciepła. Skupiał je w sobie i podwajał. Trwało to chwilę, koń zakręcał, by zabrać strażnika do następnej przestrzeni.

– Jaka cenna srebrna moneta! – zawołała matka.

– Srebrna? – strażnik zatrzymał konia.

Obrócił się ku chłopcu i spojrzał na ziemię. Srebrny krążek lśnił tuż pod nogami dziecka.

– Podaj mi ją! – rozkazał strażnik.

Chłopiec się pochylił, ujął monetę i uniósł na wysokość oczu. Trzymał ją przez chwilę, kusząc strażnika. Na awersie widać było cyfrę pokazującą wartość pieniądza.

– Całe czterdzieści srebrników! – rzekł strażnik zachwycony.

Wyciągnął ramię ku chłopcu. Otworzył dłoń, trzymając palce razem. Saytan położył monetę na ręce strażnika, jednocześnie kierując na nią wzrok i rozwierając

usta. Gorąca i sucha energia wypłynęła z niego i skupiła się na metalu. Moneta zrobiła się biała, uniósł się z niej biały dym.

Strażnik wrzasnął z bólu i potrząsał ręką, by zrzucić pieniądz. Moneta jednak nie chciała się odkleić. Wprost przeciwnie, zagłębiała się w strukturę dłoni i dymiąc, przepalała ją. Strażnik wył z bólu i coraz gwałtowniej ruszał ręką. Palcami drugiej dłoni usiłował wydłubać pieniążek. Nadaremnie. Moneta przepaliła dłoń i spadła na ziemię. Strażnik podniósł rękę i spojrzał w otwór. Nie wierzył własnym oczom: miał w dłoni dziurę na wylot.

Chłopiec pochylił się. Jego oczy, lśniąco białkami obróciły się w górę i na skos, gdy patrzył na strażnika. Uśmiechnął się i podniósł monetę. Chuchnął w nią, jakby gasił płomyk, i powoli wsunął do kieszeni.

Koń szalał, czując strach i ból jeźdźcy. Stanął na zadnich nogach, przebierając w górze przednimi wysięgnikami. Wierzgał tuż ponad głową chłopca, ten jednakże stał nieporuszony.

Strażnik wyszarpywał z zaczepki jeden z wielu komunikatorów zahaczonych o pas na piersi. Ledwo odczepił, cisnął w ziemię tuż pod nogi chłopca. Zawrócił konia i spiąwszy go, przesadził granicę przestrzeni zewnętrznej. Odjechał szybko, figurka wierzchowca malała, wreszcie znikła w oddali.

Trzej mędrcy otoczyli chłopca, by go chronić i odczytać wiadomość. Tau miała możliwość kontaktu ze sztucznymi wytworami techniki. Wbiła wzrok w leżący na ziemi płaski przedmiot. Odczyt informacji nie sprawiał jej żadnych problemów. Przez chwilę robiła jednak mądre miny i milczała.

- Czy to jest dla mnie prezent? – ponaglił ją chłopiec.
- To jest wiadomość uniwersalna – odpowiedziała Tau.
- Co to znaczy?
- Jest przeznaczona dla ciebie, ale również dla wszystkich.

– Jeżeli jednak weźmiemy pod uwagę twoje szczególne znaczenie – wtrąciła się Psi – w pewnym sensie jest głównie dla ciebie.

– Zawsze mówisz dziwacznie i w sposób mało zrozumiały – zaproponował chłopiec, wciąż rozgniewany.

– Wiesz jednak, że zawsze moje słowa się sprawdzają.

– Powiedźcie mu, co to jest – rozkazał Zeta.

– To ma związek z rzeczami, które szczególnie dzisiaj są ważne. Tradycja, święto, kolacja. – O prezentach wrzucanych przez komin Tau wołała nie wspominać. – Ziemia była wtedy jednorodna. Mieszkali na niej ludzie.

– Lepiej nie wymawiaj tego słowa! – krzyknął chłopiec. – Myślałem, że jestem od nich uwolniony!

– Wiemy, że dużo przeszedłeś – rzekła Psi cicho i słodko.

– Nie chcę doświadczyć tego po raz drugi – rzekł poważnie Saytan.

Trzej mędrcy milczeli wymownie. Chłopiec patrzył na każdego przez chwilę, a kiedy dotykał wzrokiem ich twarzy, odwracali głowę.

– To oni mi to wszystko zrobili! – wybuchnął chłopiec. – Ludzie!

– Narzucili na ciebie swoje ciężary – rzekła Psi współczująco.

– Obarczyli cię odpowiedzialnością za wszystko, z czym nie mogli sobie dać rady – szepnęła Tau.

– Oni ciebie stworzyli i twoją potęgę – zakończył Zeta.

Chłopiec zbierał w sobie siły. Zaczynał rozumieć, że nie może się wymknąć wydarzeniom. I chociaż przeszedł przez cierpienie, dźwigając brzemie ponad jego siły, będzie musiał przejść tę drogę po raz wtóry. Uświadomił sobie, że jeśli nie podejmie tego wyzwania, pozostanie na zawsze chłopcem. Będzie się przekomarzał z osobą, która wcale nie jest jego matką, lecz tak ją nazywa. Będzie używał nieznanych pojęć, wymawiał niezrozumiałe słowa jak zaklęcia, które nie zawierają w sobie magicznej mocy. Będzie rozumiał tylko strzępy rzeczywistości, nie potrafiąc w ogóle

wyobrazić sobie całości. To oni dają mu siłę i dojrzałość, to z ich powodu rośnie i staje się mądrzejszy. To oni udzielają mu swej potęgi i dlatego staje się wszechwładny.

Czy ma zostać niewinny i głupi? Czy ma tkwić wiecznie w naiwności i oczekiwaniu? Nierozumiejący, na skraju rzeczywistości jak na brzegu szumnego oceanu? Chłopiec jeszcze przez chwilę był dzieckiem, potem spojrzała na niego Psi i poczuł, że więcej tego nie zniesie, więc pożegnał się z dziecięciem w sobie.

– Co jest w tym komunikatorze?

– Rozkaz zabicia wszystkich dzieci, które się narodzą.

– To nas nie dotyczy – odetchnął Saytan. – Moja matka nie może mieć dzieci.

– To usiądźmy do wieczerzy – powiedziała matka, nadchodząc.

Umieścili się wygodnie tuż za progiem stajni, zajmując miejsca na sianie rozrzuconym na ziemi. Pośrodku stał cebrzyk wypełniony pierogami.

Matka wzięła pieróg do ręki i przełamała go w pół. Wyciągnęła rękę do Saytana, kazała mu odłamać kawałek i zjeść z powagą. Potem podsunęła dłoń z kawałkiem pieroga do każdego z trójki mędrców. Ułamali po kawałku i zjedli w milczeniu.

– Prezenty mogą być niematerialne – powiedziała Psi. – I te właśnie mają największą wartość.

– Co więcej, mogą wzrastać, jeśli zostaną właściwie przyjęte przez odpowiednią osobę – dodała Tau.

– I są niezniszczalne – zakończył Zeta.

– Tak się właśnie stało – powiedział Saytan. – Taki dar otrzymałem.

– Ciekawe, czy jego wartość wzrosła z powodu tego szczególnego wieczoru? – zapytała matka.

– Popatrzcie! – krzyknął Saytan, spoglądając na niebo przez otwarte drzwi stajni.

Gwiazda, która się obracała i wydzielala z siebie wąską wiązkę światła, wybuchła nagle olbrzymim blaskiem. Po chwili wystrzelił z boku snop i leciał łukiem na ziemię, a błyszcząca kula gwiazdy podążała w dół za nim. Całe niebo zajęła gwiazda z olbrzymim ogonem blasku. Stała nieruchomo w przestrzeni, chociaż wiedzieli, że podąża przez nią z olbrzymią prędkością.

Saytan odłożył pieróg do cebrzyka, bo właściwie nie potrzebował jedzenia. Przeniósł wzrok na niebo i podziwiał wielkość zjawiska. Nie podejrzewał niczego. Nie odczuwał strachu, zresztą, nigdy się niczego nie bał. Światło odbijało się w jego czarnych, lśniących oczach.

Mędrcy zbliżyli do siebie głowy i porozumiewali się, połączywszy umysłami. „To urządzenie zostało zawieszone na niebie bardzo dawno temu. Ziemia była wtedy jednorodna. Tak, jednogatunkowa. To ludzie ją zamieszkiwali. To oni wyprodukowali zasobnik. Zgromadzili w nim dane, historię, kulturę. Czuję, że jeszcze coś więcej. Czy sądzisz, że przewidzieli, że nastąpi rozpad powłoki? I wszystkiego, co zostało umieszczone wewnątrz? Nie sądzę, aby rozpad nastąpił przypadkiem, i to właśnie dziś. Na pewno został obliczony i wyznaczony na konkretną datę. Na ten wieczór właśnie. Dlaczego nie przewidzieliśmy, że program wyrzuci to akurat teraz? Przecież czas nie istnieje, a to dlatego, że ludzie przestali go produkować. Ale słuchajcie! Nastąpiło wydarzenie i to jest początek. Skoro będą zachodziły wydarzenia, pojawi się w ich rezultacie czas. Do tego są potrzebni ludzie. Słyszałam, że jest to możliwe i prawdopodobne. Ależ Tau, to chyba tylko hipoteza, myślę, że zbyt naiwna. Ale wydarzenia będą biegły wstecz. Do początku. Do tamtego początku czy do nowego? W każdym razie musimy rozpad uznać za znak. Jest tych znaków nieskończenie wiele. Rozsypały się po całym świecie jak bity, kwanty czy mikroby. Oni to przewidzieli? Może raczej ocalili. A co powiemy Saytanowi?”

– Co to jest, powiedzcie?

– Zawsze mówiono, że to są znaki – wyjaśniła Tau. – I to prawda.

– Co się wydarzy?

Tau milczała. Psi zaczynała blednąć i znikać, a Zeta zacisnął wargi, by żadne słowo się nie wymknęło.

Saytan mierzył spojrzeniem czarnych oczu każde z nich kolejno. Mimo wymuszania w ten sposób informacji, żadne z nich się nie kwapiło, by ich udzielać. Saytan patrzył coraz bardziej rozgniewany i zdziwiony.

– Musicie mi powiedzieć – zażądał. – Jesteście moimi nauczycielami.

– To się już wydarzyło – zaczęła Tau. – Znaki zapowiedziały i się stało, co miało się stać.

– Ukrywacie przede mną prawdę. Jesteście zbyt poważni, bym mógł zapowiedź przyporządkować przeszłości.

Nadal milczeli, żadne z nich nie mogło wykrztusić prawdy.

– Skoro się wydarzyło, czego się obawiacie? Nic mi nie grozi. To już było – przekonywał ich Saytan.

– Chodzi jednak o to – odważyła się powiedzieć Tau – że wydarzenia zaczęły się poruszać wstecz.

– To zbyt straszne – szepnęła Psi.

– Czy chcecie mi powiedzieć, że te niewielkie skupiska życia biologicznego mogą z siebie wytworzyć tamtych?! – Saytan zadał pytanie z wielką złością.

Milczeli.

– Istnieję tylko ja! – wykrzyknął. – Nie po to tak długo się zmagalem z nimi, by teraz mój wysiłek został zmarnowany. Byłem wielki, lecz niosłem ciężar ponad siły. Narzucili na mnie tak dużo! Rosłem, nie przeczę. Ale nawet ja nie byłem w stanie tego udźwignąć.

Nie powiedzieli ani słowa.

– Czy chcecie powiedzieć, że moja jest winą to, co się stało? Że nie mogłem udźwignąć? Ugiąłem się pod tym strasznym brzemieniem! Tak, wiem! To ja ich broniłem. Rozumiem, to ja ratowałem świat tak długo, jak mogłem.

Mędrcy nadal milczeli.

– Czy wasze milczenie jest oskarżeniem? Macie pretensję do mnie o to, że nie zdołałem ocalić świata? I upadłem. Byłem zbyt słaby! Jakież był ten świat, skoro nawet ja nie potrafiłem utrzymać go w całości, pomyślcie!

Mędrcy nadal milczeli, a Saytan wybuchnął śmiechem.

– Jakaż poczułem ulgę! Mogłem się odrodzić. Stałem się dzieckiem i podarowałem sobie wielki dar: zapomnienie.

– Wiemy, że ów szczęśliwy dar zapomnienia był dla ciebie straszną karą – powiedziała Tau. – Z tej głównie przyczyny zdecydowaliśmy się roztoczyć nad tobą opiekę. To dlatego cię uczymy.

– Nie zasłużyłeś na karę – szepnęła Psi. – Czyniłeś wszelkie starania.

– Doceniliśmy twoje wysiłki – zakończył Zeta.

Saytan pozornie uspokojony znowu obrócił swoje czarne oczy na świecącą gwiazdę. Rozpadała się, wyrzucała z siebie bez przerwy strumień iskier. Patrzył chwilę i nagle zrozumiał jeszcze więcej. Mimo to powiedział spokojnie:

– Oni mnie oszukali.

Wybiegł przed stajnię i stanąwszy na środku przestrzeni wewnętrznej, w jakiej się zamknął, by się chronić, uniósł pięść ku niebu. Patrząc szalonymi oczami na rozpadającą się gwiazdę, zawieszoną wysoko w pustym niebie, wygrażał pięścią, krzycząc. Mała figurka chłopca stała pod wielkim wklęsłym kloszem nieskończonej przestrzeni nieba. Wyglądała tak, jakby ktoś spoglądał na nią z bardzo daleka.

Saytan rozżalony i wściekły, krzyczał w niebo. Oszukany i wydrwiony. Czuł, że całe jego przeszłe cierpienie było nadaremne. Udręka wcale się nie liczyła. Ciężka praca została wykonana na próżno.

– Czyje to są wyroki? – krzyczał Saytan w niebo. – Czyj to plan?

Gwiazda się srebrzyła, rozsypując i rzucając iskry na ziemię.

– Już czas, Saytanie – szepnęła Psi. – Przygotuj się, chodź.

Spojrzał na nią, przytomniejąc. Otarł twarz z sadzy, spojrzał na swoje uczernione dłonie. I nie mówiąc ani słowa, powrócił do izby.

Na środku podłogi stała duża misa. Matka, stojąc obok, trzymała dzban. Strumień wody wylewał się z dzbana do misy i unosiła się para. Saytan uniósł głowę i zrzucił z siebie ubranie. Zrobił krok do przodu i wszedł do wody. Nie patrząc na matkę, ukląkł i pochylił głowę. Matka przechyliła dzban i strumień wody spływał na pochyłoną głowę i na czarne włosy. Potem lała wodę na jego plecy. Obmywała ciało nie tylko z potu i brudu dnia codziennego. Jego skóra stawała się coraz bielsza. Kiedy podniósł głowę i powstał z kolan, był o wiele starszy.

W wodzie po kolana stał piękny młodzieniec z dumną twarzą. Patrzył przed siebie ku przeszłym wydarzeniom. Matka odstawiła dzban i wyżeła jego mokre włosy. Czarna fala rozsypała się na plecy. Owinęła go białym ręcznikiem i przeszła do drugiej izby.

Stała przy oknie i pomyślała, nie wiedzieć czemu, że trzeba coś przygotować dla nowo narodzonego. Drzwi stajni były nadal otwarte. Wyglądała przez okno, patrząc na wielką gwiazdę, która wciąż spadała, z jej srebrnej głowy wystrzelały pęki iskier, tworząc gigantyczny ogon, lecący z nieba na ziemię, oddzielający kopułę nieboskłonu jak srebrna tęcza dzieląca czas.

Saytan uniósł ramiona i złączył dłonie ponad głową. Wiedział, że wystarczy, by odbił się nogami, a zdoła unieść się ponad ziemię. Potem pochylił i wytarł stopy do czysta. Był bardzo piękny.

Mędracy go obstąpili, patrząc z czułością.

– Będziesz potrzebował sił – rzekła Tau. – Wyposaże cię w nadzwyczajną wiedzę.

Dotknęła palcem jego czoła. Wchłaniał ją, nikła, wsączała się. Na czole Saytana pomiędzy brwiami pozostała czerwona plamka.

– Jestem wolą nadzwyczajną – rzekł Zeta. – Jestem tobą.

Wszedł w Saytana, a ten wyprostował się z dumą. Nic go teraz nie złamie. Tym razem on wygra. Teraz, kiedy się powtórzy okrąg czasu, to on będzie panem świata. I pozostanie nim na wieki wieków.

– Będziesz więcej czuł i odgadywał – szepnęła Psi. – Przyszłe i przeszłe wydarzenia.

Spojrzeniem przyłgnęła do oczu Saytana i znikła. Młodzieniec wyszedł na próg i podniósł urządzenie, które rzucił strażnik. Wziął je tylko do ręki i wiedział, co zawiera. Przeznaczenie. Potem usiadł na progu i czekał na Jego narodziny z oczami utkwionymi w drzwi stajni.

Oficyna wydawnicza **RW2010**

Na każdą kieszeń na każdy czytnik

**A gdybyś pewnego dnia się obudził
i wymacał z przodu piersi, które
wrosły nocą, to co byś zrobił?**

**Emma Popik to mistrzyni krótkiej
formy, która powraca w świetnej
formie w zbiorze nigdzie wcześniej
niepublikowanych tekstów.**



**Firma „Pillon i Synowie” prowadzi
na rynku nieruchomości interesy na
olbrzymią skalę, jednak nawet dla
niej przejęcie całej planety ze
wszystkimi jej bogactwami
i inwentarzem to nie lada wyzwanie.
Czy naprawdę tak trudno być
Bogiem, jeśli się ma możliwości?**

**Dobre ebooki
w dobrej cenie**

**szukaj na
www.rw2010.pl
lub w e-księgarniach**

RW2010

REWOLUCJA WYDAWNICZA!

[Kup książkę](#)